

1907.

Nr 57

czas. 3876/1/2/57

Z doświadczeń ruchu oświatowego.

Większość nowopowstałych polskich instytucji kulturalnych, zalegalizowanych na podstawie czasowych przepisów 17 marca 1906 r., weszła już lub wchodzi obecnie w drugi rok swojego istnienia. Niektóre z nich odbyły już swoje doroczne zebrania ogólne i ogłosiły sprawozdania o swojej działalności, zapoznając w ten sposób szerszy ogół z jej wynikami. Zdawałoby się, że po przełamaniu pierwszych trudności, można teraz spodziewać się nastąpienia okresu produkcyjniejszej, rozleglejszej działalności oświatowej na podstawie stworzonej dotychczasową pracą organizacji, pozyskanego zaufania mas i zdobytego doświadczenia. Tak nie jest jednak, i w kołach, robocie kulturalnej oddanych, spotykamy się z usposobieniem bardzo pesymistycznym i przewidywaniem coraz cięższej walki i nowych utrudnień. Że ten pesymizm jest usprawiedliwiony, najlepszym tego dowodem jest los „Polskiej Macierzy Szkolnej“.

Wszystko zapowiada pogorszenie warunków kulturalnej działalności. Nie były one zresztą łatwe i dotąd. W innym miejscu wspominamy o przeszkodach, które na drodze swego rozwoju spotykała „Macierz“ jeszcze w czasie, gdy wśród instytucji oświatowych wydawała się ona najbardziej od wszelkich przypadków zagwarantowana. Jak widać z rocznego sprawozdania, ogłoszonego przez „Uniwersytet dla Wszystkich“, jego droga była także ciernistą. Z początku dla urzędzenia systematycznych wykładów i luźnych odczytów wystarczyło zameldowanie o nich oberpolicmajstrowi m. Warszawy. Wkrótce jednak nastąpiło rozporządzenie generał-

gubernatora, że o pozwolenie na wszelkiego rodzaju wykłady i odczyty należy zwracać się do niego na 7 dni przed wykładem, z dołączeniem szczegółowego konspektu. „Rozporządzenie powyższe,—mówi sprawozdanie,—utrudniało już działalność Uniwersytetu, zwłaszcza, gdy pozwolenia na odczyty luźne przychodziły początkowo po terminie zamierzonego odczytu, co pociągało za sobą konieczność odwoływania odczytów“. Porządek ten jednak był zachowywany niedługo, i podania Zarządu Uniwersytetu w kwestji wykładów w ciągu trzech miesięcy pozostawały bez odpowiedzi, tak że niepodobna było rozpoczynać nowych serji wykładów. „Wreszcie 22 września st. st. r. b. Oberpolicmajster zawiadomił, że zgodnie z obowiązującym postanowieniem Generał-gubernatora, wydanym na zasadzie praw stanu wojennego, urządzenie wykładów systematycznych bez zezwolenia Okręgu Naukowego jest wzbronione“. Dla wykładów luźnych pozostawiono stary porządek. Co do wykładów systematycznych, to sprawa nie posunęła się naprzód, ponieważ Okręg Naukowy potrzebował czasu dla zorientowania się w niej i dotąd na podania Uniwersytetu żadnych pozwoleń nie udzielił.

Dodajmy do tego innego rodzaju nieporozumienia, o których opowiada sprawozdanie uniwersytetu. „Na Pradze np. w dniu 25 maja bezpośrednio przed jednym z odczytów wkroczyła policja i wojsko. Strzałami, po nad głowami siedzących w oczekiwaniu rozpoczęcia odczytu słuchaczy, starano się wstrzymać obecnych od ucieczki, poddano ich rewizji, twierdząc, że obrazy świetlne i wogóle cały aparat odczytowy są tylko dobrze obmyślaną pokrywką zebrania nielegalnego. Gdzieindziej wstrzymano czynności biurowe, grożono zamknięciem biur, wstrzymaniem wykładów“ i t. d. Na zgromadzenia „Towarzystwa Kultury Polskiej“ kilkakrotnie także przybywała policja z wojskiem i tylko telefoniczne odwołanie się do Oberpolicmajstra uchroniło zebranych słuchaczy od nieprzyjemności. Naturalnie, wszystkie te nieporozumienia wkrótce się wyjaśniały, ale — mówi sprawozdanie „Uniwersytetu“—„trzeba na to wielkiej świadomości potrze-

by nauki i wielkiego przystosowania się do życia w tych warunkach, by nie zniechęcić się ostatecznie do odczytów, wykładów i wogóle współżycia z instytucją“.

Jeżeli jednak nasze instytucje oświatowe nie rozwijają się tak jak jest pożądane, byłoby bardzo jednostronnie przypisywać to jedynie niekorzystnym warunkom zewnętrznym. Pod tym względem wiele zależy od społeczeństwa, które obojętnie odnosi się do wielu prac kulturalnych, od samych działaczy na tym polu, wreszcie od tych mas, potrzebom których działalność oświatowa ma zadość czynić.

Ofiarność publiczna, która hojnie spływała na „Macierz Polską“, w mniejszym daleko stopniu na „Towarzystwo Kultury Polskiej“, zupełnie ignorowała taki naprz. „Uniwersytet dla Wszystkich“. Widzimy z jego sprawozdania, że w roku ubiegłym z ofiar do kasy jego wpłynęło tylko 586 rb. 70 k., tak że cały budżet Uniwersytetu był oparty wyłącznie prawie na składkach członkowskich i opłatach za wykłady. Niedawno tylko wpłynęła znaczniejsza ofiara na sumę 500 rb., złożonych przez p. Bernarda Raabe w imieniu rodziny. Ale nawet opłaty członkowskie nie wpływają tak jakby należało, co widać ze sprawozdania, które nalicza 1,171 rb. 96 kop. zaległości z tytułu niewpłaconych składek.

Nie łatwą też jest rzeczą dla naszych instytucji kulturalnych dobrać ludzi, którzyby czynniejszy udział w ich sprawach brali czy to w zarządach i innych organach kierowniczych, czy to w charakterze wykładowców i prelegentów. Wielu tak zwanych członków rozmaitych komitetów nominalnie tylko pełni swe funkcje, świecąc nieobecnością nawet na posiedzeniach, nie mówiąc już o czynnym udziale w innych robotach, tak, że prawie cała praca spada na nieliczne jednostki. Wyszukanie prelegentów przedstawia często niezmiernie trudności. Dotąd jeszcze w Warszawie nie znalazło się grona prawników, którzy pomogliby Uniwersytetowi dla Wszystkich zorganizować wykłady prawnopolityczne. W tak ważnym zakresie ekonomji społecznej jest zaledwie paru prelegentów, którzy nie są w stanie obsłużyć

wszystkich potrzeb. Naturalnie, że prowincja odczuwa brak prelegentów w daleko jeszcze większym stopniu.

O stosunku do pracy oświatowej tych, dla których ona przeważnie była przeznaczona, także niejedno dałoby się powiedzieć. Potrzeba oświaty jest odczuwana powszechnie, ale rzadko jeszcze spotkać można wytrwałość w dążeniu do niej. Najlepszym dowodem jest los wykładów systematycznych Uniwersytetu dla Wszystkich. Wykłady te, w najrozmaitszych dzielnicach urządzane i bardzo dostępne, w ciągu całego roku zebrały w Warszawie tylko 2,690 słuchaczy, z nich 1,567 w języku polskim i 1,127 w żargonie! O małej wytrwałości świadczy także zaznaczony w sprawozdaniu Uniwersytetu fakt zmniejszania się ilości słuchaczy na dłuższych kursach ku ich końcowi, tak że w niektórych wypadkach wykłady były zawieszane dla braku słuchaczy. Cieszyły się natomiast niezmiernym powodzeniem pojedyncze odczyty, słuchanie których nie przedstawia takich trudności.

Mimo rozmaite braki, rok ubiegły przyniósł nam niezmiernie doniosłe wyniki na polu pracy kulturalnej i dał doświadczenie, które dalszą drogę w tym kierunku oświecać będzie. Na tym polu, jak i na innych, buduje się lepsza przyszłość, i nieprzyjazne siły zewnętrzne okażą się bezsilnymi wobec ruchu, którego na długo stłumić nie będą w stanie

Quis.



KWIATY KAPITALIZMU.

Od kilku tygodni dochodzą nas wieści o tysiącach, dziesiątkach tysięcy emigrantów, powracających z Ameryki do ojczyzny. Powracają starzy i młodzi, kobiety i dzieci; powracają Polacy, Czesi, Węgrzy, Słowacy, uciekają ze złoto-

dajnej Ameryki. Ameryki miliardów i zadowolonych ze swego losu robotników i wracają do swoich krajów, gdzie czeka ich nędza, a może śmierć głodowa wraz z żonami i dziećmi.

Co się stało?

Stała się rzecz zwykła w warunkach przemysłu kapitalistycznego: przesilenie, czyli kryzys w przemyśle. Przemysł kapitalistyczny, rozwijający się pod wpływem osobistej żądzy zysków przedsiębiorcy, charakteryzuje bezład (anarchja), brak wszelkiego regulatora, miernika, za pomocą którego dałoby się określić wielkość zapotrzebowania rynku i stosownie do tego — zorganizować wytwórczość. Ani jeden przedsiębiorca nie może posiadać ścisłych wiadomości ani o stanie przemysłu w jego całości, ani o stanie rzeczy w pojedynczych jego gałęziach. Dla produkowania potrzebny mu jest jedynie jeden warunek: pieniądze lub kredyt. Skoro ten warunek posiada, produkuje on swe towary, starając się możliwie więcej wytworzyć, gdyż konkurencję może wytrzymać tylko ten przedsiębiorca, który, nabywając surowiznę w wielkich rozmiarach, organizuje produkcję na wielką skalę. Gdy rozkwit przemysłu trwa, wszystko idzie dobrze — napływ towarów na rynki jest olbrzymi, ale jest również zbyt; hurtownicy robią zakupy u fabrykantów i jeden u drugiego, drobni kupcy u hurtownych, a nadewszystko spekulanci, którzy, spodziewając się nagromadzić towary na składzie i podwyższyć cenę, kupują masowo i wytwarzają sztuczny popyt. Ale rozkwit ten, oparty na spekulacji, nie odpowiada istotnym zapotrzebowaniom rynku — choroba wewnątrz organizmu społecznego trwa i rozwija się, aż wreszcie, gdy nadprodukcja dojdzie już do zbyt znacznych rozmiarów, kryzys wybucha z straszliwą gwałtownością. Pierwszym symptomem nadchodzącej burzy jest zazwyczaj upadek najbardziej spekulacyjnych przedsiębiorstw. Okazuje się, że towary, nagromadzone przez nich dla spekulacji, są nikomu niepotrzebne, a nie mogąc je spieniężyć, przedsiębiorstwa te nie mogą wywiązać się ze swych zobowiązań, bankrutują. Banki

widząc co się święci, wycofują kredyty, co wyprowadza z równowagi cały przemysł i rozpoczyna się panika. Przedsiębiorcy w pogoni za pieniędzmi śpieszą sprzedawać swe towary; tymczasem popyt zmniejsza się jeszcze bardziej, bo kupcy starają się utrzymać pieniądze w swoich rękach, rynki przepelniają się towarami, przedsiębiorstwa upadają, jedne za drugimi i pociągają za sobą banki, z których nadmiar złego wszyscy śpieszą wycofać złożone oszczędności. W ten oto sposób następuje w krótkim stosunkowo czasie, po wspałym rozkwicie, nagły kryzys, najsrożej, najokrutniej bijąc w robotników, którzy nic nie oszczędzili, wyrzucając ich tysiącami na bruk, skazując na głód i nędzę.

Taki moment przesilenia przeżywamy obecnie. Rozkwit trwa od r. 1900 we wszystkich gałęziach produkcji, począwszy od przemysłu dobywczego (kopalnie węgla i metalów) i kończąc na przemyśle włóknistym. Wszędzie, na całym świecie (z wyjątkiem Rosji, gdzie warunki wskutek rewolucji były odmienne) popyt na towary podniósł się na niebywałą wysokość; doszło do tego, że niektóre gałęzie przemysłu odczuwały silny brak „rąk roboczych“, które sprowadzano sobie ze wszystkich krajów mniej uprzywilejowanych. Potok złota, wyrzucony na rynek przez drobnych i większych kapitalistów, spowodował niebywałe spekulacje. Szczególnie Ameryka Północna, klasyczny kraj karkołomnych spekulacji i zdumiewających oszustw giełdowych, prześcignęła wszystkie inne państwa kapitalistyczne. Jakaś orgja wytwarzania i budownictwa opanowała amerykańców; dwudziestopiętrowe gmachy, halle żelazne, mosty i tunele budowano na wycigi, obok rozkwitu wszystkich innych gałęzi przemysłu, obok szalonej spekulacji na zapasach miedzi i na akcji przedsiębiorstw dobywczych. Krach wisiał w powietrzu, gdyż zapasy pieniędzy były na wyczerpaniu.

I istotnie tym razem burza nadciągnęła z Ameryki. Sprowadził ją, obok zwykłych czynników ekonomicznych, nader ciekawy objaw natury politycznej, nad którym warto się zastanowić.

Jak wiadomo, w Ameryce rozwinęły się w szczególny sposób związki przedsiębiorców, zwane *trust*'ami. Skłonność przemysłu kapitalistycznego do koncentracji (ześrodkowywania się) sprawiła, iż garstka kapitalistów skupiła w swoich rękach niemal cały przemysł dobywczy i przetwórczy Ameryki. Trust mięsny, trust żelazny, trust naftowy—to jedna strona tej organizacji; druga strona—to panowie Rockefeller i Morgan, miliardery amerykańscy, którzy skupili w swoich rękach nici tych olbrzymich przedsiębiorstw i ni by siecią opętali całe życie gospodarcze Ameryki. Mając w swoich rękach wszystkie środki komunikacji, uniemożliwiają oni wszelką konkurencję, rujnując każdego przedsiębiorcę, któryby zechciał z nimi się zmierzyć, i niemiłosiernie wyzyskują konsumenta, wyznaczając dowolne ceny na produkty. Oczywiście, że ta gospodarka trustów daje się mocno we znaki ludności amerykańskiej i opinia publiczna coraz głośniej żąda interwencji władz państwowych. Nałożyć kaganiec kontroli państwowej na te olbrzymie potęgi gospodarcze nie jest jednak rzeczą łatwą, gdyż rozporządzając olbrzymiami środkami, mają one na swoje usługi całą armję agentów, urzędników, olbrzymią prasę i szerzą korupcję polityczną, kupując za pieniądze sumienia nietylko niższych urzędników państwowych, ale i sędziów i dygnitarzy. To też, aby położyć kres tej, wybujałej na gruncie najwyższych form kapitalizmu ohydzie jest jedyny środek — uspołecznienie produkcji. Prezydent Stanów Zjednoczonych był jednak innego zdania i zaczął od półśrodków — oddał pod sąd należący do Rockfellera trust naftowy (Standart Oil Company), oskarżając go o nadużycie przeciwko prawu i zdobył wyrok, skazujący trust na drobną sumę 29 milionów dolarów (60 milionów rubli). Spodziewał się on w ten sposób uczynić załość wzburzonej opinii publicznej i — srodze się zawiódł. Rockefeller odpowiedział na to wyzwanie Roosevelta i odpowiedział tak, że wstrząsnął całą Ameryką, i raz na zawsze odstraszył wszelkich amatorów „kagańca na trusty“.

Odpowiedź jego była prosta: wyczekawszy moment naj-

większego napięcia produkcji i spekulacji i olbrzymiego zapotrzebowania kapitałów, wycofał on z banków całą swoją gotówkę i schował ją do swoich kas. Wystarczyło to, aby wywołać straszliwą panikę, brak gotówki, spadek papierów, ruinę banków i tysięcy przedsiębiorstw. Próbował rząd udzielić pożyczki ze skarbcza państwowego, próbowano przelać do Ameryki kilkaset miljonów z Europy, ale wszystko to okazało się kroplą w oceanie; kryzys wybuchł z całą gwałtownością i tysiące, setki tysięcy robotników znalazło się na bruku.

Króle trustów nie stworzyli kryzysu, oni go jedynie przyśpieszyli i wywołali, ale zadali tym straszliwy cios nie tylko Ameryce. Jak odpowie społeczeństwo amerykańskie na ten brutalny policzek — czy wybierze prezydenta powolnego rozkazom Rockefellera, czy też takiego, który, nie robiąc „prób“, przystąpi odrazu do dzieła zniesienia tej szkodliwej potęgi,—pokaże przyszłość. Tymczasem spędza krach amerykański chmury nad Europą i dziś-jutro Europa powtórzy tę samą lekcję. Do setek tysięcy bezrobotnych z Ameryki przybędą setki tysięcy wyrzuconych z fabryk Europy i straszliwa klęska bezrobocia wybuchnie z całą niszczącą potęgą. Kapitał jest międzynarodowy — proletarjat musi o tym pamiętać!

Almar.

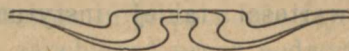
*

W przewidywaniu nadchodzącej klęski, interpelowali posłowie socjalistyczni w parlamencie francuskim ministra Pracy, który odpowiedział, iż demokracja nie może zaniedbać swoich obowiązków w stosunku do robotników, że została wyznaczona komisja, mająca na celu zbadanie projektów robót publicznych dla bezrobotnych i wyszukanie w tym celu środków. Klęska nie zastanie demokrację francuską nieprzygotowaną. Zobaczmy jak się wywiąże ze swego zadania burżuazja francuska, faktem jest, że nie jest ona ślepa na objawy życia.

Natomiast ślepą i złośliwie ślepą jest burżuazja polska. Wśród wielu sążnistych pomysłów, mających na celu zemścić się na Pru-

sakach za gwałty, popełniane względem Polaków, proponuje ekonomista katolicki p. Caro „nie dawanie Prusakom robotnika rolnego“. Na szczęście ani p. Caro, ani jego protektorzy nie mogą robotnika „nie dawać“, w przeciwnym razie mielibyśmy armję rezerwową jeszcze bardziej zwiększoną i jedyny skutek byłby ten, że obszarnicy polscy zrobiliby interes na narodowej sprawie, bo mieliby tańsze ręce robocze, a oto im przedewszystkim idzie.

Albo pan Caro sam jest ślepy, albo ma robotników polskich za ślepców.



MIECZYŚLAW JAROSZ.

Inspekcja robotnicza w górnictwie.

(Dokończenie).

II.

Instytucja robotników-inspektorów w górnictwie istnieje od lat przeszło trzydziestu. Najpierw powstała w Anglii, skąd powoli przez Francję, Belgię i Niemcy przedostając się, poczęła oddziaływać na proletarjat górniczy w Austrii.

W Anglii, gdzie przemysł kopalniany jest silnie rozwinięty, przypuszczono najwcześniej robotników do kontrolowania kopalni. Ustawa z r. 1872, rozszerzona następnie w lat piętnaście, pozwala reprezentantom robotniczemu kontrolować i badać kopalnie. W myśl ustawy z 1887 r., w każdej kopalni wybierają górnicy z pomiędzy siebie dwóch czynnych górników, którzy odtąd mają prawo raz w miesiącu badać porządki i urządzenia w kopalni. Wynik badań delegat zapisuje do osobnej książki a odpis kontroli przesyła inspektorowi górniczemu, któremu właśnie ci delegaci dodani są do pomocy, jako robotnicy-inspektorzy. Czynność robotnika-

inspektora spełniać może tylko czynny górnik, t. j. pracujący na kopalni. Wybierani bywają albo na walnym zgromadzeniu górników, albo przez wydział robotniczy danego przedsiębiorstwa. Czynność swą sprawują rok albo pół roku i płacę otrzymują od organizacji robotniczej. Zaznaczyć należy, że robotników-inspektorów wybierają górnicy tylko na większych a bardziej niebezpiecznych kopalniach, na mniejszych nie wybierają zupełnie. Przyczyną jest ten fakt, że koszta utrzymania robotnika-inspektora ponoszą sami górnicy, dalej wśród górników angielskich panuje różnorodność zapatrywań co do wartości takiej instytucji robotników-inspektorów.

Inaczej nieco ma się sprawa z robotnikami-inspektorami we *Francji*. Tutaj na każdej kopalni muszą górnicy wybierać delegatów do kontrolowania kopalń.

We *Francji* dopuszczono robotników do inspekcji kopalnianej ustawą z 1890 roku, po długich walkach i obradach parlamentarnych. Baronowie węglowi starali się wszelkimi środkami zwalczyć instytucję robotników-inspektorów—wysiłki ich jednak spełzły na niczym. Rząd oparł się intrygom i w r. 1890 przepisał w obu izbach ustawę o reformie inspekcji górniczej co prawda spaczoną znacznie.

W myśl powyższej ustawy każda kopalnia wybiera jednego delegata; tylko kopalnie o mniej niż 25 robotnikach, nie są obowiązane wybierać delegatów. Obowiązkiem delegata jest kontrolować kopalnię, względnie okręg mu przydzielony, dwa razy w miesiącu a w razie nieszczęśliwego wypadku wysledzić jego przyczyny.

Delegat nie ma prawa interpelować kierownika kopalni w sprawie swych spostrzeżeń, poczynionych w czasie kontroli—jedynie techniczna strona kopalni podlega jego kontroli. Po każdym zbadaniu kopalni wpisuje swe spostrzeżenia i uwagi do osobnej książki, do której wolno każdemu górnikowi zaglądnąć. Zapis wyniku kontroli delegat posyła policyjnemu urzędowi górniczemu.

Delegatami mogą być czynni albo byli górnicy, tran-

cuzcy poddani, umiejący czytać i pisać, najmniej lat 25, a od 5 lat zajęci w tej kopalni, gdzie przypada im sprawować urząd delegata. Wybory przeprowadza się na trzy lata przez tajne głosowanie za pomocą kartek. Aby zarząd kopalni nie mógł wywierać wpływu na wybory, wydano w ubiegłym roku dodatek do powyższej uchwały—mimo to kopalnia wywiera wpływ znaczny.

Za wykonywanie swych czynności pobiera delegat wynagrodzenie równające się zarobkowi górnika za 20—30 zmian, przerobionych w kopalni. Ponieważ dotąd wolno było robotnikom-inspektorom mieć poboczne zajęcia, ustawa w roku 1905 ma temu zapobiegać przez podwyższenie wynagrodzenia delegatów. Koszta ponoszą przedsiębiorcy.

W Belgji instytucja robotników-inspektorów jest najzwyczajszą marjonetką w rękach właścicieli kopalń. Brak w niej najważniejszej rzeczy, mianowicie wpływu na nią ze strony robotników samych. W Anglji i Francji górnicy wybierają delegatów, w Belgji rady przemysłowe i pracy stawiają kandydatów, a tych minister przemysłu mianuje „delegatami“ na przeciąg lat trzech. Odtąd kontrolować mogą kopalnie węgla (te tylko obowiązuje ustawa) przydzielone sobie, osiemnaście razy w miesiącu.

Delegatem może być belgijski poddany, najmniej lat 10 pracujący w kopalni, musi umieć czytać i pisać, a przede wszystkim posiadać odpowiedni zasób wiadomości górniczych, z czego każdy z nich składa egzamin przed osobną komisją. Obowiązkiem takiego delegata jest zbadać kopalnię, wysledzić przyczyny nieszczęśliwych wypadków. Wynik kontroli wpisuje delegat do własnego dziennika a odpis zasyła urzędowi górniczemu. Wynagrodzenie w wysokości 1,800 franków rocznie pobiera z kasy państwowej.

Delegaci w Belgji są zatym organami rządowymi, zawiślemi zupełnie od niego, stąd też wymaga się od nich pewnej zawodowej kwalifikacji, czego niema w Anglji ani we Francji. Brak wpływu górników na wybór delegatów, jak i fakt ten, że delegatami są przeważnie dozorczy, sprawiają,

iż górnicy odnoszą się do tych robotników-inspektorów z niedowierzaniem. Ustawa pochodzi z r. 1897.

Pozostaje nam jeszcze omówić instytucję robotników-inspektorów w Niemczech. Panuje tu wielka różnorodność. Brak jednolitego systemu inspekcji, jaki widzieliśmy w innych krajach, sprawia wrażenie jakiejś łataniny. Przeważa system belgijski. W niektórych zagłębiach górniczych mamy inspektorów-robotników t. zw. „Sicherheitsmannów“, ustanowionych rozporządzeniem z 1902 roku. Wydział robotniczy w kopalni wybiera delegata na dwa lata, którego obowiązkiem jest badać kopalnię dwa razy w miesiącu. Delegat musi podobnie jak w Belgji posiadać pewną zawodową kwalifikację, przyczym stosunek jego do przedsiębiorcy jest ten sam, co zwykłego górnika. To znaczy, że za łada przewinienie ma prawo przedsiębiorca wypowiedzieć mu pracę. W Saarbrücken (znanej z nieszczęść, jak ją nazywają Saarabji) funkcję robotników-inspektorów spełniają t. zw. mężowie zaufania górników, badający kopalnię raz w miesiącu. Koszta opłacania robotniczych inspektorów ponosi kasa państwowa tak samo, jak w Belgji.

W *Austrji* górnicy walczą dopiero o zaprowadzenie reformy inspekcji górniczej. Wprawdzie minister rolnictwa starał się kilkakrotnie o zreformowanie inspekcji górniczej przez powołanie robotników do kontrolowania kopalń, ale potrzebne „centralne stowarzyszenie właścicieli kopalń w Austrji“ umiało zawsze sprawą tak pokierować, że każdy krok ministra kończył się na jakimś bładym nic nie mówiącym okólniku.

Po strasznej katastrofie w Courrieres minister rolnictwa w Austrji rozesłał do starostw i urzędów rewirowych górniczych okólnik w sprawie reformy inspekcji. Ale baronowie węglowi wypracowali naprędce odpowiedź, „że wydział centralnego stow. właścicieli kopalń oświadcza się zasadniczo *przeciwko powoływaniu robotników do współdziałania przy nadzorowaniu zakładów kopalnianych pod względem polskiej bezpieczeństwa*, gdyż inspekcja u nas (w Austrji) wykonywana jest

intensywnie przez teoretycznie i praktycznie wykształcone organy, tak, że nie można żądać wzmocnienia jej jeszcze". I sprawa skończona.

Bojąc się jednakowoż, by rząd nie przeprowadził reformy, wypracowali sami nieco później regulamin inspekcji kopalnianej, przykrojony do własnych potrzeb. Regulamin ten podobnym jest nieco do belgijskiego systemu inspekcji, tylko że delegatów mianowałby sam kierownik kopalni. Delegat raz w miesiącu zjeżdżałby na kontrolę do kopalni, za osobnym zawiadomieniem o tym kierownika szybu. Ustęp 15 regulaminu przypomina delegatów z Saarbrücken w Niemczech: prawne stanowisko delegata robotniczego wobec zakładu nie zmienia się, czyli kierownik może w każdej chwili pozbyć się niewygodnego delegata, t. j. wyrzucić go z pracy.

Przeciwno tej karykaturze reformy inspekcji górniczej wzniosł zjazd „Unji górników w Austrii“ protest do ministerjum rolnictwa, przedstawiając wypracowany przez siebie regulamin inspekcji w kopalniach.

W regulaminie tym domagają się górnicy powiększenia liczby inspektorów górniczych, urzędujących przy starostwach górniczych i dodania im do pomocy inspektorów-robotników w odpowiedniej ilości. Obowiązkiem robotnika-inspektora jest: regularne badanie kopalni, celem nadzorowania zarządzeń dla bezpieczeństwa osób i mienia, badanie przyczyn i skutków wypadków przy pracy; staranie o dotrzymywanie przepisów ustawowych, jakoteż zarządzeń, wydanych przez inspektora górniczego i przez inne władze górnicze. Robotnik-inspektor wynik kontroli wpisuje do t. zw. książki obciążowej a odpis przesyła przynależnemu inspektorowi górnictwa, którego obowiązkiem jest zbadać spostrzeżenia robotnika-inspektora i *zarządzić natychmiast usunięcie stwierdzonych braków*. Inspektor górnictwa ma mieć zatym *władzę wykonawczą*, czego się tak boją przedsiębiorcy, i podlegać bezpośrednio ministerjum rolnictwa. Dalej mówi regulamin o wol-

ności robotnika-inspektora, o jego prawach i t. p. Koszta opłacania inspektorów-robotników ponosi kasa państwowa.

Od przedłożenia powyższego regulaminu upływa już rok drugi—a o reformie ani słyhać i o regulaminie baronów węglowych zapomnianoby, gdyby nie nowa ankieta ministra rolnictwa, wydana niedawno w tej sprawie. Reforma inspekcji górniczej w Austrii wejdzie znowu na porządek dzienny.

Powyżej przedstawiliśmy systemy instytucji robotników-inspektorów w kilku krajach. Wszędzie skrojono je tak, by nazywało się, że robotnicy biorą udział w kontroli kopalni a właściciele zakładów mieli zapewnioną bezkarność w mordowaniu górników. W interesie dobrej inspekcji górniczej leży, by inspektorów górnictwa wyposażono w pewną władzę wykonawczą. Bez tej władzy wszelkie kontrole i rewizje kopalni, zapisywanie wyników do książki jest niczym, bo usunięcie nieporządków w kopalni pozostawionym jest przedsięwzięciem.

Klasycznym przykładem, do czego doprowadzić może brak władzy wykonawczej w ręku inspektorów górnictwa jest *Courrieres*. Na kilka dni przed katastrofą inspektor kopalniany zwrócił uwagę na straszne wprost nie do uwierzenia stosunki w kopalni. Zanim jednakże przedsiębiorca, względnie jego zastępca uznał za stosowne uczynić zadość wskazówkom inspektora, wpisanym do książki—*Courrieres* pochłonęło 1,300 górników!

W Niemczech inspektorzy-robotnicy pozostają pod niesłychanym wpływem, wprost teroryzmem ze strony zarządu kopalni. Muszą do książki objazdowej wpisywać, iż wszystko jest w porządku, chociaż przy kontroli zastali co innego. Opornych kopalnia wyrzuca z pracy. W Anglii wprawdzie inspektorzy-robotnicy mają więcej swobody, natomiast wolno im zjeżdżać do kopalni zaledwie raz w miesiącu. A nie trzeba zapominać, że dzień jeden sprowadza czasem straszne zmiany w kopalni. To samo odnosi się do robotników-inspek-

torów we Francji; w Belgji istnieją raczej urzędnicy, a nie wybrani robotnicy-inspektorzy, wykonywujący ślepo nakazy rządu i przedsiębiorców.

Argument używany przez przedsiębiorców w Austrii, że gdzieindziej robotnicy biorą udział w inspekcji, a nie-szczęścia nie znikają, że zatył zbytecznym jest powoływanie robotników do nadzorowania kopalń—jest zwykłym kłamstwem. gdyż, jak wykazaliśmy — instytucja robotników inspektorów w innych krajach, została przez pokrewnych austjackim baronów kopalnianych, spaczoną i sfalszowaną.

Dopóki inspekcja górnicza nie zostanie zreformowaną według potrzeb robotników w tym kierunku, żeby stanowiła prawdziwą ochronę życia górnika—górnictwo, które już ze względu na swą istotę i swe urządzenia, jest jednym z najniebezpieczniejszym zawodów, jakie stworzył porządek kapitalistyczny—pozostanie stałą mordownią i grobem setek i tysięcy istot ludzkich. Państwo od początku produkcji kapitalistycznej wyrzekło się coraz bardziej wpływu na kopalnictwo. Ustawodawstwa ograniczyły się do utworzenia pojęcia własności kopalń i uregulowały stosunek prywatnych właścicieli do państwa, resztę pozostawiły wolnej umowie między pracodawcą a robotnikiem i wolnej konkurencji między poszczególnymi przedsiębiorcami. Prawo własności przedsiębiorców kopalnianych ujęto ściśle w ustawy, lecz prawo własności „wolnych najmitów“ górników do ich siły roboczej uznano za nic, oddano bezkarnemu wyzyskowi kapitalisty—barona kopalnianego. Porządek taki wytworzył w górnictwie europejskim jak najgorsze stosunki. Tysiące kobiet i dzieci w wieku szkolnym zawleczono we wszystkich krajach w Europie do kopalń i wydano je na łup bezwzględego wyzysku, masowych śmierci, rządy zaś obojętnie spoglądały na gonitwę przedsiębiorców za zyskiem po przez mordowanie setek i tysięcy ludzi. Dopiero trzeba było silnego protestu robotników, trzeba było energicznej akcji ze strony organizacji robotniczych, celem usunięcia strasznych, nieludzkich

stosunków—zanim wreszcie i rządy zdecydowały się wejść na drogę polityki socjalnej w tej dziedzinie.

Proletariat górniczy, zjeżdżający codziennie do podziemi, przesiąkniętych krwią pomordowanych, ma także swoją historję.



PRZEGLĄD.

Z ruchu zawodowego. Zaledwie zdążyły związki zawodowe w Królestwie Polskim jako tako uporać się z trudnościami organizacyjnymi, zaledwie przystąpiły do spełniania swych zadań na polu stosunków przemysłowych i pracy kulturalnej, gdy posypał się na nie grad represji. Z faktów, podanych w pismach w ostatnich czasach, przytoczymy następujące: W Łodzi 12 grudnia „dokonano rewizji w lokalu związku przemysłu włóknistego. Zabrano różne książki i aresztowano kilkadziesiąt osób. Nazajutrz po tej rewizji biuro związku zamknięto, zarząd aresztowano“. W Warszawie 15 grudnia „w Dolinie Szwajcarskiej odbywało się zebranie ogólne członków „Związku metalowców“. Około godziny 12 w południe wkroczył silny oddział wojska na czele z komisarzem miejscowym i zarządzono szczegółową rewizję wszystkich osób, znajdujących się podówczas w gmachu. Poddano także szczegółowej rewizji pałta w garderobie. Po kilkogodzinnej rewizji wojsko opuściło Dolinę, aresztując około 140 osób z ogólnej liczby 500, będących na zebraniu“. Pod datą 17 grudnia piszą w gazetach: „Nocy dzisiejszej żandarmerja wraz z wojskiem otoczyła cukrownie: Dobrzelin, Walentynów i Tomczyn, gdzie dokonano szczegółowej rewizji w mieszkaniach robotników. Aresztowano 22 robotników, należących do zalegalizowanego związku zawodowego cukrowników“. Ponieważ te trzy związki—włóknisty, metalowy i cukrowniczy—należą do najliczniejszych i najlepiej zorganizowanych bezpartyjnych związków zawodowych Królestwa Polskiego, można widzieć w tych faktach systematyczną kampanję przeciwko

tym związkom rozpoczętą. Zbyteczne mówić w jaki sposób podobna naganka wpływa na rozwój ruchu zawodowego, nawet jeżeli represje te nie mają na celu zamknięcia związków. Jeżeli sam pobyt w biurze związku, uczestniczenie w jego zebraniu ogólnym, a nawet sama należność do *zalegalizowanego związku* jest dostatecznym powodem do aresztowania, to nie potrzeba zamykać związku, żeby go do upadku doprowadzić i wiarę w możliwość i skuteczność legalnej roboty związkowej podkopać.

A więc powrót do dawnych stosunków na całej linii. Nawet więcej niż powrót, bo ciągle spotykamy się z formami represji, za dawnych czasów nieznanymi. Oto naprz. „w fabryce Rosenblatta w Łodzi robotnicy przędzalni w liczbie 283 wyrazili protest z powodu zaaresztowania 80 towarzyszków. Z rozporządzenia generał-gubernatora wojennego *wszystkich* tych robotników aresztowano i przeprowadzono do więzienia przy ul. Ludwika“. Tak samo aresztowani zostali *wszyscy* robotnicy fabryki Lirkensa po zamachu, dokonanym przez kilka jednostek na wspólnika firmy A. Wårsego.

Tymczasem związki zawodowe, poza przeszkodami z zewnątrz idącymi, mają niemałe trudności wewnętrzne do zwyciężenia. Jedną z tych trudności jest brak uzdolnionych funkcjonariuszy, który jest bolączką prawie wszystkich związków. Sprawozdanie Z. Z. rob. przem. włóknistego tak się wyraża w tej sprawie: „Niekorzystnie na związku odbijał się dotąd brak doświadczonych kierowników, pomimo olbrzymiego zasobu dobrych chęci i zapału do pracy. Taki brak zdolnych kierowników jest dziś odczuwany powszechnie. Zdolności i doświadczenia kierownicy nabiorą dopiero po dłuższym czasie pracy w związkach zawodowych. Ogół kierowników związku bowiem mało może się wyróżniać od ogółu jego członków i całej klasy robotniczej. Poziom zaś kultury klasy robotniczej w naszym kraju, świadomość klasy robotniczej o zadaniach związków zawodowych robotniczych w społeczeństwie i ich celach jest u nas znacznie niższy od poziomu kulturalnego i świadomości klasy robotniczej w tych krajach, gdzie organizacje robotnicze są czynne od lat wielu“.

Z tegoż sprawozdania wyjmujemy następujące dane o stanie finansowym związku rob. przem. włóknistego. Wpływów od 1 sierpnia do 1 listopada r. b. związek w Łodzi miał 11,735 rb. 94 k., wydatków zaś 11,235 rb. 36 k., czyli

pozostawało w kasie na 1 list. 500 rb. 58 k. Zapomóg związek wypłacił 5,715 rb. 70 kop.

Q.

Zamknięcie Polskiej Macierzy Szkolnej.

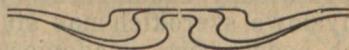
„Przy nadchodzących świętach Bożego Narodzenia, świętach radości, świętach dzieci, czyż nie będzie na czasie przypomnieć naszemu miastu o dzieciach szkoły „Macierzy“. Dla wielu z tych dzieci widok oświetlonej choinki i przysmaków na niej zawieszonych, to marzenie całych miesięcy, a potem radosne wspomnienia na całe może życie i długie opowiadania przez wiele dni... Przecież i my wszyscy dorośli czy starsi wiekiem, nie spragnieni cukierków czy jabłuszek z przyjemnością witamy drzewko radości, drzewko wesela! Odświeżajmy serca i dusze nasze radością dzieci tej najwspanialszej i ukochanej naszej instytucji „Polskiej Macierzy Szkolnej“! Niech dzieci z tej szkoły widzą i czują, że opiekują się nimi wszyscy obywatele miasta, że ich szczęście zajmuje wszystkich!“

Słowa te spotkaliśmy w jednym z naszych pism prowincjonalnych parę tygodni temu... Niestety, te tysiące i dziesiątki tysięcy dzieci, które zbierały się w szkołach „Macierzy“, pozostaną bez choinki. Nietylko „drzewka radości“ zostały one pozbawione, ale w wielu wypadkach jedyne źródła nauki, dla nich dostępnego w czasie dzisiejszym. Jednym pociągnięciem pióra została zniszczona olbrzymia instytucja kulturalna, stworzona przez społeczeństwo polskie. Za główną jej winę zostało poczytane „występne budzenie wśród narodu ducha ciasnej odrębności narodowej“, niedbałość o prawidłowy wykład języka państwowego, „niedopuszczalne w samej zasadzie dążenie do usunięcia ze składu Towarzystwa najbardziej spokojnych jego działaczy“... Zresztą, półtoraroczny okres działalności Macierzy obfitował w trudności bez liku. Już na samym początku istnienie jej zostało zakwestjonowane w 6 guberniach Królestwa i z trudnością udało się uzyskać wyjaśnienia, że działalność Macierzy rozciąga się na całe Królestwo. Na 1,247 podań o pozwolenie na otwarcie szkół uzyskano pozwoleń tylko na 681 szkołę. Na 316 podanych władzom do zatwierdzenia nauczycieli zatwierdzono tylko 159. W gubernji Siedleckiej na 163 podań o szkoły nie uzyskano ani jednego pozwolenia. Jak zaznacza sprawa

wozdanie z rocznej działalności Macierzy – „lwia część pracy Zarządu Głównego z konieczności musiała być zwróconą w kierunku zwalczania tych przeszkód“.

Co do owoców działalności Macierzy, to zdążyła ona stworzyć 141 szkół, dozwolonych przez władze i posiadających zatwierdzonych nauczycieli. Założono 317 ochronek, 505 bibliotek i czytelni, zorganizowano znaczną ilość kursów dla analfabetów, urządzono odczyty i pogadanki z różnych dziedzin wiedzy. Ilość kół organizacyjnych Macierzy wynosiła 781. W Warszawie specjalne koło uniwersytetu ludowego zajmowało się organizacją popularnych wykładów systematycznych. Jak wykazuje sprawozdanie, w ciągu roku we wszystkich instytucjach Macierzy, które w okresie sprawozdawczym nadesłały wiadomości, pobierało naukę 63,000 osób, korzystało z ochronek 14,401 dzieci, a z czytelni i bibliotek 55,914 osób. Koła liczyły naogół 116,341 członków.

Stosunki, panujące w Polskiej Macierzy Szkolnej i kierunku jej działalności spotykały się z zarzutami, które i my niejednokrotnie podnosiliśmy. Ale to są wewnętrzne sprawy naszego społeczeństwa, które nie czas wspominać w chwili, gdy czynniki zewnętrzne położyły kres istnieniu tej instytucji i w niwecz obróciły olbrzymi nakład pracy i środków materialnych, które społeczeństwo na jej stworzenie wyłożyło.



Z ruchu kulturalnego.

Uniwersytet dla wszystkich.

W dniu 15 grudnia w Warszawie odbyło się ogólne zebranie członków Uniwersytetu dla Wszystkich. Złożone zebraniu sprawozdanie Zarządu i Komitetu Naukowego zobrazowało roczną pracę Uniwersytetu w zakresie organizacji, finansowości i wykładów. W celu ułatwienia kontaktu z masą podzielono Warszawę na dzielnice, w których powołano do życia biura dzielnicowe, załatwiający sprawy miejscowe. Delegaci dzielnicowi podtrzymują bezpośrednie stosunki z członkami i słuchaczami.

mi Uniwersytetu w swej dzielnicy, grają czynną rolę przy organizacji wykładów i dobieraniu kompletów słuchaczy, z drugiej zaś strony są wyrazicielami potrzeb dzielnicy wobec Zarządu; zbierają się oni perjodycznie w biurze Zarządu dla omawiania wspólnych spraw i podają swe uchwały do wiadomości Zarządu. W ten sposób pomiędzy kierownikami Uniwersytetu, delegatami dzielnicowymi i ogółem słuchaczy wytwarza się zespół, który wspólną pracę czyni owocniejszą. W roku sprawozdawczym Uniwersytet miał 2,558 członków. Głównym źródłem dochodu instytucji, która dotąd bardzo mało z ofiarności publicznej korzystała stanowią składki członkowskie. Składek tych powinno było wpłynąć 3,588 rb. 90 kop., w rzeczywistości zaś wpłynęło tylko 2,516 rb. 95 k. Zaległości składowe wynoszą 1,171 rb. 95 kop., i Zarząd w swym sprawozdaniu zwraca się do członków, którzy zalegli z opłatą, z gorącą prośbą o możliwie rychłe wpłacenie składek, do których się zobowiązali. Naukową działalnością Uniwersytetu kierował Komitet Naukowy, który zorganizował w roku sprawozdawczym następujące sekcje: nauk przyrodniczych, historyczną, społeczno-ekonomiczną, pedagogiczną, języka polskiego, matematyczną oraz nauk technicznych, literacko-artystyczną. Prócz tego była czynna sekcja wykładów żargonowych dla ludności żydowskiej, nie rozumiejącej po polsku. Wykłady, urządzone przez Uniwersytet, były trzech różnych typów: 1) luźne odczyty popularne z najrozmaitszych dziedzin wiedzy, zadaniem których było rozbudzić zainteresowanie umysłowe szerokich mas słuchaczy i spopularyzować wśród nich podstawowe wiadomości z różnych dziedzin myśli ludzkiej; 2) krótkie cykle wykładów luźnie z sobą powiązanych; 3) dłuższe cykle po 6—12 i więcej godzin wykładowych dla słuchaczy, odczuwających potrzebę systematycznego wykształcenia i wdrożonych do wytrwalszej pracy umysłowej. Za zasadę przyjęto, że poziom wykładów ogólno-kształcących powinien być jak najbardziej popularnym i w każdym razie dostępnym dla osób, posiadających elementarną znajomość czytania, pisania i rachunku. Jak stwierdza sprawozdanie, wśród słuchaczy przeważają robotnicy, dokładnej jednak statystyki ich według zajęć nie zdołano przeprowadzić. Cyfry mężczyzn i kobiet, słuchających wykładów, podane są oddzielnie. W roku sprawozdawczym w języku polskim wykładów systematycznych odbyło się 62 cykle w 989 godzinach przy 51 wykładowców i 1,567 słuchaczach; odczytów luźnych było 92 przy 39 prelegientach

i 40,014 słuchaczach. W żargonie odbyło się 27 cykli wykładów w 535 godzinach przy 18 wykładowcach i 1,123 słuchaczach, prócz tego 8 luźnych odczytów, wygłoszonych przez 5 prelegentów przy 6,061 słuchaczach. Ogółem więc wykładów systematycznych urządzono 89 cykli w 1,425 godzinach przy 69 wykładowcach i 2,690 słuchaczach; luźnych odczytów 104 przy 42 prelegentach i 46,075 słuchaczach. Doświadczenie zeszłoroczne wykazało, że dla większości słuchaczy z klasy robotniczej korzystanie z dłuższych cykli wykładów systematycznych przedstawia znaczne trudności zarówno z powodu nieprzyzwyczajenia do pracy umysłowej, jak z powodu niemożności przez dłuższy czas regularnie na wykłady uczęszczać. Zauważono, że przy dłuższych kursach systematycznych często ilość słuchaczy zmniejsza się ku końcowi. Wobec tego sprawozdanie przychodzi do wniosku, że należy przesunąć środek ciężkości przed wszystkim na odczyty luźniejsze z poszczególnych przedmiotów, powiązane w cykle do 6 wykładów, tak by opuszczenie pojedynczego wykładu nie pozbawiało słuchacza możliwości rozumienia dalszych. Kończąc przegląd działalności Uniwersytetu, wspomnieć należy o urządzonym przez niego 6 tygodniowym kursie wykładów dla włościan. Prócz tego w roku sprawozdawczym otwarto oddziały Uniwersytetu w Będzinie, Dąbrowie, Mszczonowie, Płocku, Pruszkowie, Sosnowicach, Zakroczymie, Zawierciu i Żabkowiecach.

Na zebraniu ogólnym stawilo się tylko około 300 członków. Przewodniczył mec. St. Leszczyński. Po wysłuchaniu wyjaśnień przedstawicieli Zarządu, Komitetu Naukowego i Komisji rewizyjnej, zgromadzenie zatwierdziło sprawozdanie oraz preliminarz budżetowy na rok przyszły, obliczony na 7,000 rb. Przystąpiono następnie do dyskusji nad projektowanymi przez Zarząd zmianami ustawy. Dyskusja przeciągnęła się tak długo, że z powodu spóźnionej pory przyszło się zamknąć zebranie, niewyczerpawszy porządku dziennego i nie dokonawszy wyborów nowych członków Zarządu i Komitetu Naukowego, co było rzeczą bardzo pilną, gdyż organy te, dzięki ustąpieniu znacznej ilości swych członków, są zdekompletowane. Prócz tego zaproponowano podwoić ilość członków Zarządu, ze względu na nawalną pracę, której terażniejsza ich ilość nie jest w stanie podołać. Sprawy te mają być załatwione na następnym zebraniu, które będzie dalszym ciągiem pierwszego i odbędzie się po świętach. Na nowych członków Zarządu i Komitetu Naukowego wysta-

wiono następujących kandydatów: 1) na członków Zarządu—pp. A. Pawlikowski, Michał Sołtan, Franciszek Sternet, Józef Kochanowski, Jan Komarnicki, Wincenty Kroczewski, Jan Lutostański, Zdzisław Muszkat, Edward Potemski; 2) na członków Komitetu Naukowego—Adam Czertkowski, Edward Flatau, Jan Girtler, A. Goldsobel, H. Wilman-Grabowska, Jan Jakubowski, Wacław Makowski, Stanisława Popławska, Maksymiljan Purytz, Ignacy Radziszewski. Prawie wszyscy przedstawieni kandydaci przyjmowali już dotąd udział w czynnościach Komitetu Naukowego w charakterze członków kooptowanych.

Alf.

LIST DO REDAKCJI.

Otrzymałiśmy z prośbą o zamieszczenie list następującej treści:

„My zesłańcy polityczni, gubernji Wołogodzkiej, miasta Kadnikowa, zasyłamy Noworoczne życzenia Towarzyszom, Rodzeństwu i Szanownej Redakcji.

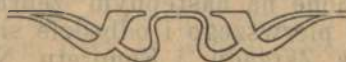
Pozostajemy z szacunkiem

Gustaw Kebke, Jan Berdo, Stanisław Kamiński, Józef Jaworski, Jan Jaworski, Kazimierz Bałdyś, Marjan Świerkowski, Michał Gurewicz, Stanisław Wiśniewski, Dominik Hoffman, Katarzyna Panasiuk, Walerjan Zalewski“.

Zawiadomienie od Redakcji.

Z powodu zamknięcia drukarni, w której dawniej drukowaną była „Wiedza“, nie mogliśmy w swoim czasie wydać № 50, który był już na ukończeniu. Pomieważ drukarnia dotąd jeszcze nie została otwarta, zmuszeni zostaliśmy № 50 przedrukować i w najbliższym czasie rozeszliśmy go naszym czytelnikom.

Przy jednym z pierwszych numerów przyszłego roku rozeszliśmy także spis rzeczy, pomieszczonych w drugim półroczu 1907 r.



CHAIM.

(Dokończenie *).

W walce nierównej z ciekawością takt polityczny Chaima szybko ulega.

Chaim bada:

— Wy dawno siedzicie?

— Nie bardzo...

— Za co?

— Za kradzież...

(„Pan inżynier“, rozbawiony tym śledztwem, śmieje się serdecznie).

— Nu jo wim, że nie za kradzież. A z jakiej wy partji?

— Z żadnej.

— To nie może być.

— Owszem, to nietylko może być, ale nawet to tak jest, Chaimie.

Srogie wątpliwości szarpią duszę Chaima.

„Czy pan inżynier miałby być zwykłym burżujem?“

I Chaim zaczyna zastanawiać się nad „taktyką“, której wypadałoby trzymać się, gdyby to „straszne“ przypuszczenie okazało się prawdą.

*

Zjawienie się Chaima na spacerze „administracyjnych“ wywołuje wielkie poruszenie.

Dusza, zmęczona jednostajnością niezłomną życia więziennego, chwytą się chciwie każdego drobiazgu, błysku każdego, który ją wytrąca na chwilę z ciszy martwej, z zapamiętania bolesnego.

Chaima otacza nagle grupa ludzi, których pomimo różnic wyglądu, pochodzenia, łączy jakaś mocna, tajemnicza nić. Chaim czuje to, czuje prostym, szczerym instynktem dziecka, i niepokój pierzecha bezpowrotnie, gdy ku drobnej dłoni Chaima wyciągają się kolejno przyjazne, silne ręce.

Wy dostał się z otaczającej go grupy, spaceruje po po-

*) Patrz № 49. Pierwsze pięć stron przedrukowano z № 50, dotychczas jeszcze uwiecznionego w opieczętowanej drukarni.

dwórzem z „panem inżynierem“ i wypytuje go skwapliwie o każdego z nowych „towarzyszy“.

Z objaśnień „pana inżyniera“ wynika, że Chaim jest tu jedynym przedstawicielem partji, do której należy. Wiadomość ta ma dla Chaima znaczenie nader ważne. Chaim czuje, że odtąd na tym gruncie honor partji jest w jego rękach. Ważność nowej roli nie przeraża Chaima, każe mu tylko jeszcze bardziej zachowywać godną ostrożność i dumną powagę.

*

Chaim informuje o programie swej partji. Wykład w języku „większości narodowej“ idzie Chaimowi niesporo. Chaim z uczuciem ulgi powraca do języka „mniejszości“.

Wypowiada płynnie, niemal jednym tchem szereg zdań wstępnych, w których streszczać się mają pragnienia wspólne wszystkim namiętnym poszukiwaczom złotego, wysnionego jutra.

W łańcuchu twierdzeń brak ogniw niektórych, które zapodziały się kędyś w zakątkach pamięci. Ustami Chaima przemawia z początku tylko pamięć, która chwyciła nowe prawdy z mów gorących, z posmolonych kartek książeczek, z dzień jeden trwających świstków, które w godzinę burzy rozwiewa wiatr namiętności i uniesień. Ogniw, nieraz nie rozumiało ani dla mówcy, ani dla jego słuchaczy, staczają się z pamięci Chaima, nie żłobiąc w niej żadnych bródz głębokich, nie tykając tych miejsc tajemnych, w których po przez pamięć przedziera się dusza.

Ale gdy Chaim mówić zaczyna o *dy rezerwne armie fyn dy proletarjat*, gdy Chaim wspomina słowa takie, jak *burżuj*, *wyzysk*, *strajk*, nagle mowa jego rwie się, staje się gorąca, i w każdym dźwięku drga bólem zmęczone i pamiętliwe, cierpieniem własnym wyczulone serce.

I tylko odrębność programowa partji na tym bezbolesnie cierpi.

*

— Chaim, Chaim, co twój tata powie, gdy dowie się o twym nieszczęściu?

Chaim śmieje się.

— Co un ma powiedzieć? Un powie „dobrze tak temu szajecowi“.

— To tata twój nie jest gorący?

— Un? un jest burżuj!

Drobne, dziecinne usteczka Chaima skrzywiły się po-

gardliwie. W skrzywieniu tym, w dźwięku głosu czuć echo walki zażartej dwu pokoleń.

— Burżuj? a czym on jest? kapitalista? kamienicznik? fabrykant?

— Neeee... un jest bidny furman...

— Ha-ha-ha!... Jakiż on burżuj?

— To trzeba być zaraz bogaty, żeby być burżuj? To już biedny nie może być taki? Mój tata jest burżuj, bo un jest burżuj!..

„*J'apelle bourgeois quiconque pense bassement*“ (nazywam burżujem każdego, czyje myśli są niskie).

Ale oczywiście Chaim o Flaubercie nigdy nie słyszał.

A oto, jak z Chaima—terminatora szewckiego stał się Chaim—działacz.

Chaim mówi:

— Jo byłem w terminu u szewca. Jo musiałem robić tak długo co dzień, jak un (majster) potrzebowałem. (Chaim dla wygody używa najchętniej końcówki osoby pierwszej). Un potrzebowałem zawsze cały dzień i pół nocy.

... Płacić? un nigdy nie płaciłem. Jo jadłem, jak się traфиło, a spałem na stole w warsztacie.

... Czy bił? Jak trzeba było, to bił. Un często trzeba było bić... Jo umiałem już łatę położyć, a czasem, jak co gorsze obuwie, to mogłem nawet zrobić całe...

... Że un nie płacił? Nu, poco un miał płacić, kiedy ja sze nazywałem *a lerjing*, terminator?

... U-wa!.. Wyrzuciły i zaraz miałyby dziesięć inne na moje miejsce... (O „rezerwowej armji proletarjatu“ Chaim nie miał potrzeby dowiadywać się z książek). Tam tyż robiłem jeden młodszy czeladnik. Un był zupełnie chory... Na twarzy to buł całkiem *grin*, *tojt*, *popielate*, a w noc to un tak kaszlałem, co jo nie można było spać... Po robocie un gdzieś chodził i wracał późno. W nocy czasem to jo widziałem, że un nie śpi, pali łożówkę, co un sobie kupowałem, i czyta jakichś brosiurki i gazety... Jak jo zapytałem co un tak czyta, to un się bardzo przestraszył, ale jo mu powiedziałem, co nie potrzebno się bać, bo jo nikogo nic nie powiem... To od-tąd un był mój *frajnd*, przyjaciel. Jak w warsztacie nikogo nie buło, to un mi opowiadał takie różne rzeczy o położenie *fyn dy proletarjat*, co mi powinni bić solidarne, o walkie ekonomiczne... I raz un mi powiedziałem, co jest takie partje, które walczy, żeby proletarjat buło lepiej... Jo jemu nic nie

powiedziałem, ale mówiłem sobie, że jo koniecznie potrzebno iść do tej partje... Przez dwa mieszące, może trzy, to ja zbierałem pieniądze.

... Skąd? Jakto skąd? Zawsze, jak jo odnosiłem towar, to mi dawali czasem dwa grosze, czasem cztery. Jak jo już zebrałem pięćdziesiąt kopiejek, to jo się pytałem ten czeladnik, jak iść do te partje. I w sobote jo poszedłem do jedne miejsce i powiedziałem, co jo mom pięćdziesiąt kopiejek, i spytałem, czy to będzie dosyć, żeby jo można iść do partje. Jo bardzo bułem kontent, jak mi powiedzieli, co za to wcale nie potrzebno płacić...

Chaim przyznaje się szczerze, że wkrótce zmienił swe przekonania partyjne. Ale Chaim nie chce, by go posadzano o zdradę tych, którzy tak bezinteresownie otworzyli mu objęcia. Nie, Chaim nie zdradza. Ale Chaim uznał, że ta druga partja ma więcej racji bytu. Chaim analizuje obydwu programy, wpada w zapał i polemizuje gorąco z domniemanymi przeciwnikami. A gdy skończył, jeszcze bardziej wyprostowuje swą w „wyrośnięte“ paletko opiętą figurkę i wyżej podnosi głowinę, w której gorąco świecą wielkie błękitne oczy, i rumieńcem płoną okrągłe, dziecinne policzki.

Chaim umie bronić honoru partji, której jest tu jedynym i odpowiedzialnym przedstawicielem.

— Chaim, Chaim, jakie ty masz tam ciągle interesa?...

Chaim prowadzi na spacerach długie, przyciszone rozmowy z kimś ukrytym za niebieskimi zasłonami, zazdrośnie strzegącemi okiem. Chaim stoi długie minuty z głową, skierowaną ku tym zasłonom. Rozmowy zagadkowe, ciche, prowadzone w języku, który jest dla wielu przygodnych słuchaczy Chaima niezrozumiały. Chaim porozumiewa się znakami z ulicą. Chaim odbiera drogami tajemniczymi tajemnicze kartki, na które również tajemniczo odpowiada. Chaim wiedzie dyskusje długie z niebieskimi zasłonami u okien, z współtowarzyszami niedoli, z ulicą. Chaim ma przytym twarz frasunków pełną i chmurnie zmarszczone czoło...

— Chaim, Chaim, jakie ty masz ciągle interesa?

— Sprawy partyjne... konspiracje...—odpowiada Chaim od niechcenia, z powagą i dumą...

Chaim nie zapomina nawet i tu o swej roli „działacza“...

Na korytarzu więziennym panuje dziś ruch niezwykły. „Pan oddziałowy“ biega na wszystkie strony i sprawdza,

czy wszystko jest w porządku. Próbuje zamków i ryglów, zasuwą zasłonki w „wizytkach“.

— Panie oddziałowy, cóż to za święto?

Strażnik informuje tajemniczo:

— Śledowatiel przyjechał, jakies generały są w kancelarji... Lepiej dla nas, żeby *wsio było w poriadkie*... Proszę nie stukać! Panowie! Panowie!..

Wićmo upierne wionęło przez korytarze więzienne, zmroziło płonące ogniem dusze i zamarło w oczekiwaniu bolesnym serca...

Dzwonek. Żandarm otwiera kratę. Po korytarzu echem przebiega wołanie:

— *Otdielonnyj!*

Dziesiątki ciszą wyczulonych uszu przywarły do szczelin w drzwiach i nasłuchują...

Klucz zgrzyta w drzwiach celi „pana inżyniera“. Z powagą uroczystą strażnik mówi do Chaima.

— *Pożatujcie w kancelarju.*

— Po co?—pyta z niepokojem „pan inżynier“.

— Nie wiem,—odpowiada wymijająco strażnik.—Pewnie do śledztwa...

Chaim zapina marynarkę i poprawia sznurek jedwabny przy koszuli, który mu służy za krawat.

— Pamiętaj, Chaim,—upomina „pan inżynier“, — głowy nie trać, nie lękaj się...

— Nu, nu,—uspokaja opiekuna Chaim.—Czego ja mam się bać? U-wa!..

Wychodzi z celi spokojnie, zawsze z głową podniesioną do góry i z rękami w kieszeniach marynarki.

Od drzwi do drzwi leci stłumione, niespokojne wołanie

— Kogo biorą?

— Chaima!..

— Po co?

— Niewiadomo!

Na korytarzu zalega pełna trwoźnych nasłuchiwań cisza...

Chaim staje we drzwiach pokoju, w którym zasiada sąd wojenny. Wysoki, barczysty generał z piersią, ozdobioną licznymi orderami, przybył w asyście dwóch adjutantów, by wręczyć akt oskarżenia ważnemu przestępcy politycznemu.

Wysoki sąd patrzy ze szczerym zdziwieniem na małego chłopca o wielkich błękitnych oczach, o policzkach okrą-

głych i rumianych, o dziecinnych, drobnych usteczkach. Pan generał oczom własnym nie wierzy.

— Imię?.. nazwisko?.. Cóż u licha?..

To samo imię, to samo nazwisko.

Pan generał przygląda się dziecinnej figurce Chaima i szybko przebiega wzrokiem akt, zawierający oskarżenie o ciężkie przestępstwa państwowe i paragrafy kodeksu, których cyfry są symbolem złowróżbnym zatracenia...

— *Czort znajet czo takoje!*

Szeroka, rumiana twarz pana generała zaczyna drgać, aż wreszcie jego ekscelencja wybucha śmiechem, basowym, tłustym, dygnitarskim; pan generał śmieje się, i natychmiast śmiać się poczynają panowie adjutanci, ale ciszej i cienie, odpowiednio do stanowiska i do rangi.

A Chaima porywa gniew; burzy się w nim duma, a dziecinne, błękitne oczy jego poczynają płonąć.

— Zawołaj naczelnika,—mówi wreszcie pan generał do żandarma, stojącego w drzwiach.

Rzecz wyjaśnia się.

— To pomyłka, wasza ekscelencjo, — raportuje naczelnik.—Mamy innego więźnia tego samego imienia i nazwiska.

— *Nu, tak i dumał,* — mówi pan generał, ocierając uperfumowaną chustką pot z czoła i zażawione od śmiechu oczy.

Chaim powraca do celi.

— No, co to było, Chaim? — pyta zaniepokojony „pan inżynier“.

Chaim z gniewem, w którym czuć pewne rozczarowanie, opowiada szczegóły zajścia.

— I nie zląkłeś się, Chaim, nie zląkłeś się? A gdyby to do ciebie istotnie...

— Nu, to by było *propa!*, — odpowiada z filozoficznym spokojem Chaim.

I Chaim nie udaje. Z widma upiornego, które przesunęło się obok Chaima, nie wionął na niego żaden podmuch, ścinający krew w żyłach.

Bo i jak Chaim może bać się śmierci, kiedy nawet nie zdążył jeszcze przyzwyczać się do życia?...

* * *

Chaim uczy „pana inżyniera“ czytać po żydowsku. Chaim bierze rolę swą bardzo serjo, nie może jednak wstrzymać się od śmiechu, gdy jego uczeń myli się w literach, lub

gdy wymawia słowa zbyt poprawnie z niemiecka. Natomiast „pan inżynier“ uczy Chaima arytmetyki i geografji. Nauka staje się więc w ten sposób koleżeńską wymianą usług. Trzeba szanować wrażliwość i dumę „działacza“, dla którego „produkcja“, „rezerwowa armja proletarjatu“, „burżuazja“ i „kapitalizm“ nie mają tajemnic, a dla którego natomiast zupełną nowością są „licznik“ i „mianownik“, „kula ziem-ska“ i „cieśnina“.

Nie należy wszakże sądzić, że Chaim nigdy nie uczył się. O, nie! Przed wstąpieniem do terminu Chaim, jak wszystkie Chaimy w jego wieku, uczęszczał na studia do chederu. Osobliwe były to studia. Polegały one na nauce czytania hebrajskiego, na wkuwaniu w biedne, niewyspane i niedokarmione główiny, wersetów Biblii i ustępów Talmudu. Jak tajemnicze były prawdy, zawarte w tych wersetach i ustępach! Po kilkolétnich „studjach“ Biblija i Talmud stały się dla Chaima istotnie księgami na siedem pieczęci zamkniętymi.

(Tak odczuwamy dopiero tajemniczość głębi, gdy pochylamy głowę tuż nad otchłanią przepastną).

Chaim próbował z początku wnikać w znaczenie słów, które odczytywał. Ale gdy raz zwrócił się do swego ascetycznego mistrza-mełameda z zapytaniem, co to znaczy „nie cudzołóz“, otrzymał odpowiedź w formie głośno i silnie wymierzonego policzka, który na zawsze zniechęcił go do szukania prawdy, ukrytej w słowach i rzeczach. Więc milczał i słuchał nawet wtedy, gdy umysł jego dręczyła ciekawość poznania sposobów, dzięki którym Pan już pierwszego dnia uczynił „rozdział między światłością i ciemnością“, a dopiero na trzeci rozpałił słońce i gwiazdy. Milczał i słuchał, gdy ciekawość jego męczyły zagadkowe warunki fizjologiczne i prawne, usprawiedliwiające żądanie rozvodu, warunków, których litanję całą wyliczał talmud.

To też zdziwienie Chaima niema granic, gdy „pan inżynier“ co chwil kilka przerywa swój wykład pytaniem:

— Zrozumiałeś, Chaim? czy zrozumiałeś?

I zdziwienie wzrasta jeszcze, gdy „pan inżynier“, czując niedostateczność jakiegokolwiek wyjaśnienia, powraca znowu do tej samej rzeczy i znowu ją Chaimowi z cierpliwością niczym nie zmaconą wyklada.

Chaim widzi po raz pierwszy, że nawet poza „produkcją“ i programem partyjnym są rzeczy, nad które warto wysilać mózg.

A właśnie o „produkcji“ i programie partyjnym „pan inżynier“ z Chaimem nie mówi nigdy.

* * *

Na podwórzu stoi wóz, na który furman pod bacznym okiem przedsiębiorcy ładuje stare zużyte żelaztwa, zakupione w warsztatach więziennych.

Furman, młody chuderlawy żyd o rzadkiej rudawej bródce, zmęczył się, zgrzał, pomimo przykrego, dojmującego zimna, i ociera pot z czoła.

Chaim wdaje się z furmanem w rozmowę.

Chaim ma twarz poważną i brwi zmarszczone.

Chaim wypytuje furmana o warunki ekonomiczne stanu furmańskiego i o udział, jaki stan ten brał w wypadkach ostatnich.

Chaim ma do furmana długą i skomplikowaną przemowę, której chuderlawy żyd, o rzadkiej rudawej bródce słucha z uwagą, od czasu do czasu kiwając potakująco głową lub wstawiając niekiedy dodatkowe, podkreślające twierdzenia mówcy słowa.

Z przemowy Chaima do uszu dalej stojących słuchaczy najczęściej dolatuje słowo „sztrajk“. Oczywiście, Chaim uważa strajk za panaceum magiczne, za środek cudowny, mający usunąć raz na zawsze wszelkie dolegliwości „proletariatu“.

I gdy się patrzy tak na Chaima, wiodącego długie rozmowy z uważnie słuchającym go furmanem, zaczyna się rozumieć, że kędyś w kątach zapadłych ta mała w kuse paletko opięta postać, z oczyma świeżo do życia zbudzonego dziecka, mogła wśród tłumu istot o twarzach wyschłych, piersiach zapadłych i oczach gasnących uchodzić za tajemniczego anioła, zwiastującego światu dobrą nowinę jaśniejszego jutra...

* * *

Chaim przybył do więzienia obdarty, ubłocony i wygłodniały. Chaim chodzi teraz w oczyszczonym całym ubraniu, z pod którego wygląda zawsze czysta, świeża koszula. Chaim odżywia się regularnie i regularnie sypia. Chaim jest zawsze starannie umyty i uczesany. Policzki Chaima zaokrągliły się i zarumieniły, a oczy tryskają życiem. Nad Chaimem czuwa mięka, pieczołowita dłoń i łagodna, czuła dusza. Chaim dba o swą niezależność i żadnego autorytetu wieku lub surowości nie zniósłby nad sobą.

„Pana inżyniera“ w więzieniu popularnie nazywają „tata“.

* * *

Przez otwarte okienko celi wdziera się ciepły, łagodny podmuch wiosny. Brudny śnieg stopniał zupełnie na podwórzu więziennym, i przez rozmiękłą, pogniecioną ziemię przedziera się gdzieś tam jasna zieleń. Stary, łysy strażnik wyrzekł się ostatecznie czapki i zrzucił ciężki i wytarty szynel.

Do celi coraz częściej zagląda zblakany promień słoneczny. Ze smutnych, na pozór wyschłych gałązek drzew rachitycznych, rosnących tuż pod oknami cel, poczynają tryskać młode, radosne pąki.

W duszach zasępiionych długotrwałą nocą zimową, budzą się lekliwie niewypowiedziane, młode nadzieje.

Chaim pierwszy wypada z korytarza na spacer i z trudem po skończonej przechadzce daje się napowrót zapędzić do celi. W gorąco bijącym sercu Chaima coś się budzi i rozkwita.

I—o, zgrozo!—Chaim coraz częściej zapomina o swej godności „działacza“ i o „cierpieniach proletariatu“...

* * *

— Na spacer, panowie administracyjni!—we drzwiach celi stoi młody, czarniawy „posługacz“, więzień—kryminalista, o chytrych, śmiejących się oczach.

Nie czekając na „tata“, Chaim wypadł na podwórze.

Młode, wesołe słońce złoci obdarte mury więzienia, na których niebieskie zasłony u okien, „kajdany na łeb“, jak je w swym języku malowniczym nazywają kryminaliści, kładą jaskrawe, mocne plamy. Wśród utrefionych zielonych koron młodych wiśni wyblaskują nieśmiało kiście jasnoróżowych kwiatów. W powietrzu czuć ciepłą woń rozparzonej ziemi. Na zmęczonych wybladłych twarzach więźniów, na surowych twardej twarzach strażników i żandarmów rozkwitują płochliwe uśmiechy.

Chaim biegnie po podwórzu w rozpiętym paletku. Czapka zsunęła mu się na tył głowy, sznurek jedwabny, zastępujący krawat, rozwiązał się; oczy Chaima świecą, a z rozchylonych młodych, różowych ust wyblaskują białe, wilgotne zęby.

Piers Chaima rozszerza pełne, gorące tchnienie, a usta

same otwierają się co chwila w uśmiechu, którego powodów Chaim nie umiałby wskazać. Serce bije szybko i radośnie i, zda się, wyskoczy z piersi na spotkanie promieniom słonecznym, które pieczą twarz Chaima, na spotkanie młodym, jasnym kwiatom, które wychylają się wstydliwie z poza kędzierzawych zielonych koron wiśniowych.

Chaim wypoczął w celi więziennej, Chaim odkarmił się, Chaim jest zdrowy, pełen sił, i Chaim nie wie, co z siłami temi począć, więc biegnie, śmieje się, woła.

— Chaimie, Chaimie, co się tobie stało?...

Coś przewinęło się koło nóg „pana inżyniera“.

— Wau, wau, wau! — rozległo się szczenie młodego psiaka i jednocześnie coś zlekka chwyciło za łydkę.

„Pan inżynier“ obejrzał się za siebie z przestachem i wysoko podniósł w górę nogę.

Chaim tarza się niemal od śmiechu na ziemi.

— Aha, widzicie, to ja!

Daje znak tajemniczy „tacie“ i biegnie na drugi koniec podwórza, by przestraszyć tak samo poważnego, brodatego „towarzysza niedoli“.

Na podwórzu robi się zamieszanie. Co chwila ktoś w górę podnosi nogę i szuka z przestachem skowyczącego młodego psiaka.

A Chaim śmieje się całą duszą, pełną woni wiosennej i kwiatów, i całym sercem, bijącym w takt młodego, szczęsnego wesela...

Nagle coś miękkiego i elastycznego zarazem uderza w bok Chaima. Chaim odwraca się: po nierównym, twardym bruku skacze czarna, duża „lanka“. Chaim chwytą w lot piłkę i piszczy z zachwytem. Piłka leci z rąk do rąk, odbija się o ogrodzenie, z którego odpada kawał tynku, od ściany, od pleców „taty“, a Chaim goni ją, chwytą, podrzuca, przewraca się, i młody, radosny krzyk Chaima leci w niebo wraz z piłką, prześciga ją i dźwięczy jak hejnał nowego, budzącego się życia.

Chaim zapomniał o swej godności, Chaim zapomniał o „programach“, o „wyzysku“, o „strajku“, o „kapitalistach“ i o „proletariacie“.

I po raz pierwszy w życiu Chaim jest młodym, sytym, szczęśliwym dzieckiem...

Paryż—10 kwietnia 1907 r.

Michał Mutermilch.